

NAKARMIE CIĘ
STRACHEM



TRANG THANH TRAN

NAKARMIE CIĘ STRACHEM

Przełożył
Dominik Górka



TYTUŁ ORYGINAŁU:

She Is a Haunting

Redaktorki prowadzące: Ewa Pustelnik, Marta Budnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Małgorzata Lach

Konsultacja z języka wietnamskiego: Jakub Królczyk

Twórczyni okładki: Elena Masci

Projektantka: Thy Bui

Opracowanie graficzne okładki: Ewa Popławska

Wyklejka: © Anastasiia Kolpakova / Stock.Adobe.com

DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2023 by Trang Thanh Tran

Copyright © 2025 for the Polish edition by Young an imprint of Wydawnictwo Kobiece
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Dominik Górka, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-397-7

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl



usta

TEN DOM ZJADA I JEST ZJADANY.

Wspomnienia trawią drewno, kreskami ołówka przypominają o dorastaniu dzieci i noszą ślady ukochanych stóp. Uwięzione w zakamarkach i starych zasłonach drzemią echa, które nigdy nie przestają brzmieć i czekają, by ktoś znów wsłuchał się w ich hipnotyzujący krzyk lub śmiech z gardeł – albo już martwych, albo nieobecnych. Niestrawione jeszcze elementy czekają w bezruchu. Żaden rzeczywisty narząd tu nie gnije, jest tu tylko mnóstwo drewna, którym interesują się termyty, a które osy drążą. Wystarczy jednak zamknąć szczelnie drzwi, by na nowo tchnąć w śmierć życie.

Ciało się przepęlnia, choć nigdy samo nie prosi o więcej.

Gdy zatem otwierają się drzwi, rozpoczyna się uczta.

1

JESTEM TURYSTKĄ W KRAJU, gdzie urodzili się moi rodzice. Nawet moje ubrania były tu przede mną. Wszystkie wyprodukowane w Wietnamie, wietnamskimi rękami, po czym wysłane za granicę, gdzie Amerykanka wietnamskiego pochodzenia (ja) ściąga je z wieszaka i zabiera ze sobą do miejsca, którego nie może nazywać domem. W przeciwieństwie do jej ubrań – gdyby te tylko cokolwiek, kurwa, rozumiały. W ogóle nie jestem zgorzkniała ani pogubiona, ależ skąd!

Zaciskam palce na rączce wózka na bagaże, z którym przechodzę przez drzwi lotniska Liên Khương. Z każdej strony płynie na mnie potok ludzi uginających się pod gigantycznymi plecakami, co ukazuje ostatecznie i w sposób niepozostawiający żadnych złudzeń, jak bardzo tu nie pasuję. Ale zacznijmy tę „podróż w głąb siebie”, a jakże, bo i czemu by nie.

Mam czas do końca lata, żeby zbierać pieniądze potrzebne do rozpoczęcia nauki na UPenn.

Tylko okłamując mamę, że dostałam pełne dofinansowanie, mogłam powstrzymać ją przed wzięciem kolejnej pożyczki, chociaż i tak pracuje już siedemdziesiąt dwie godziny tygodniowo w salonie kosmetycznym. Pieniądze, które zarobiłam, dorabiając weekendami w Walmarcie i sprzedając na gałki „Ice Custard Happiness” każdego lata na pół etatu w Rita’s, ledwie

wystarczyły na opłacenie rejestracji na egzamin SAT i wpisowego po odliczeniu kosztów członkostwa mojej młodszej siostry w klubie, do którego należy. I tu zaczyna się rola Ba. Z pomocą jego pieniędzy nasz plan będzie mógł się ziścić, z tym że najpierw muszę się z nim zobaczyć.

Taki postawił warunek.

– Widzę go! – woła Lily, puszczając się wózka i rzucając biegiem w kierunku stojących na włączonych silnikach aut.

Ba wysiada z rozklekotanej furgonetki i na widok mojej siostry rozchyła szeroko ramiona. Drobny, opalony na czerwona-wobrazowy kolor, z czarnymi przerzedzonymi włosami. Lily już opowiada mu wszystko, co zdążyło się wydarzyć przez długie cztery ostatnie lata naszego życia, w trakcie których wykonał do nas zaledwie kilka krótkich telefonów.

– Jade – wita się, kiedy w końcu do nich podchodzę.

– Tato. – Z moich ust wylatuje jeszcze kilka zbędnych dźwięków. Ach, ten niewycieczony język. Nie wiem, jak powiedzieć po wietnamsku „cześć” albo „tęsknię za tobą”. Nie używaliśmy tych słów zbyt często, poza tym ja wcale za nim nie tęsknię. Nienawidzę go.

Ba ściska ramię Lily, ale cały czas wpatruje się we mnie. Jestem teraz prawie tak wysoka jak on.

– Gdzie zgubiłaś brata?

– Został z mamą w Sajgonie – odpowiadam.

Bren prawie nie pamięta Ba, a przynajmniej tak twierdzi, więc wołał spędzić resztę pobytu z naszymi kuzynami ze strony mamy.

Mierzymy się wzrokiem, po czym przesuwam leżące na pace drewniane deski i wrzucam tam obie nasze walizki. Zajmuję środkowe miejsce w kabinie, bo wiem, że pas jest zepsuty i nie będę musiała go zapinać. Na twarzy Lily pojawia się udawana

złość, która znika, kiedy tata wsiada do furgonetki. Wrzuca bieg i ruszamy w drogę.

W środku panuje cisza, która się pogłębia, gdy zostajemy sami na drodze. Głos Lily, znajomy jak bicie własnego serca, wypełnia przestrzeń między nami. Klimatyzacja dmucha mi w twarz chłodnym powietrzem, które pachnie bardziej sosną i kwiatami niż dymem duszącym sajgońskie płuca. Po mojej prawej stronie rozpościera się zieleń i szarość, a delikatne odcienie żółci łączą się z różem wschodzącego słońca.

Góry wynurzają się z mgły jak świeczki z nierówno rozsmarowanego na torcie kremu. Mam ochotę powcisnąć je kciukami pod ziemię. Że też Đà Lạt musi być takie piękne akurat wtedy, kiedy jestem tak bardzo wściekła.

– Do miasta mamy jakieś piętnaście minut – mówi Ba. – Zaraz będziemy w domu.

Mam ochotę wypalić, że dla mnie to bardziej hotel. Nie czuję się tu jak w domu. „Przyjedź latem, na pięć tygodni, wtedy dostaniesz to, czego chcesz”, usłyszałam od niego w kwietniu podczas rozmowy telefonicznej. Zobaczymy, czy dotrzyma słowa. Ba przez kilka ostatnich lat budował domy dla obcych ludzi, podczas gdy w innej rzeczywistości trzynastoletnia dziewczynka musiała zostać ojcem dla swojego rodzeństwa.

– Co tam u mamy?

– Zadzwon, to się dowiesz. – Nie udaje mi się nie brzmieć złośliwie, co potwierdza Lily, wbijając mi łokieć między zębra. Przygniatał jej stopę butem. – Ale wszystko u niej okej.

Mama wróciła do Sajgonu po raz pierwszy, odkąd kilkadziesiąt lat temu wypłynęła stąd łódką i podryfowała w stronę amerykańskiego snu. Zaczęła płakać natychmiast po wylądowaniu, po czym stopniowo przechodziła ze szlochu w śmiech, kiedy przytulała swoich braci i siostry w hali przylotów. Jej rodzina

jest przytłaczająca w najbardziej pozytywny sposób, co oznacza tyle, że wspólny tydzień spędziliśmy pod znakiem jedzenia, karaoke i dzikiego rechotu mamy. Poczucie winy związane z tym, że zostawiłam ją w tej radości samą tylko po to, żeby zebrać o pieniądze na chesne, zżera mnie od środka.

Ba zwalnia, zbliżając się do kolejnego zakrętu. Wjeżdżamy w las. Gałęzie ocierają się o karoserię furgonetki niczym rozczapierzone palce domagające się naszego powrotu do ziemi. Jesteśmy na tyle daleko od jakiegokolwiek cywilizacji, że nikt nie usłyszałby naszego krzyku. Między koronami drzew pobłyskuje ją szyby – ciemne oczy opuszczonych domów.

– Pozostałości po Francuzach, którzy uciekli za Amerykanami – stwierdza Ba.

Przewracam oczami. Komunizm: z mora rynku nieruchomości.

Furgonetka zjeżdża na polny podjazd, wokół którego rosną sosny. Powietrze jest gęste od intensywnego zapachu kwiatów wabiącego nas ku sobie. Zatrzymujemy się.

Dopiero wtedy zauważam żółty dom opleciony winoroślą. Wyrastające z lasu korzenie krzyżują się na bryle i ciągną posiadłość w stronę wzgórza. Hortensje pną się po zniszczonej elewacji obok wysokich i smukłych okien, a ich białe pąki są całowane przez opieszale pszczoły. To te kwiaty są ulubieńcami miejscowych.

Staję w cieniu domu. Kiedy podnoszę wzrok, kręci mi się w głowie. Albo ze zmęczenia po długiej podróży, albo od zapachu tych wszystkich cholernych kwiatów, sama nie wiem. Z drugiego piętra chyli się wiekowy balkon, a jego żelazne pręty powyginane są pod dziwnymi kątami.

Poniżej, na poręczy schodów balansuje jakaś dziewczyna z włosami błyszczącymi jak olej na żeliwie.

Ba przedstawia mi łysego mężczyznę, który właśnie wyszedł z drugiego zaparkowanego samochodu. Nazywa się Ông Sáu i jest partnerem biznesowym taty. Macha w naszym kierunku.

– To moja siostrzenica, B...

– Florence – kończy za niego dziewczyna, szczerząc w uśmiechu kły.

– Miło mi cię poznać, Florence – mówię bez emocji, ale uprzejmie, tak jak zawsze witam się z białymi ludźmi. Daruję sobie uścisk dłoni. Mijam dziewczynę, ciągnąc za sobą walizkę, i mam nadzieję, że nie wyglądam tak nieświeżo, jak się czuję.

Florence ma na sobie luźną bomberkę, która odśłania jej brzuch. Marszczy brwi, po czym kręci dłonią, jakby kończyła magiczną sztuczkę.

– Ciebie również – odpowiada po angielsku, ale z wyraźnie słyszalnymi wietnamskimi tonami.

Partnerzy biznesowi nie zwracają uwagi na naszą niezręczną wymianę uprzejmości. Są zbyt pochłonięci rozmową o naprawach, które muszą jeszcze przeprowadzić w domu przed jego wielkim otwarciem. Lily wierci się u boku naszego taty, a Florence znajduje się blisko mnie na szczycie schodów. Patrzy na mnie bystrzymi brązowymi oczami. Mruży je, jakbyśmy miały wspólny sekret. Zjeżdża po poręczy. Coś mnie do niej przyciąga i sprawia, że chcę poznać rytm, w którym poruszają się jej idealne obcojęzyczne usta.

Śmiech Ba wabi mnie jednak do środka. Myślałam, że tylko mama potrafi wywołać u niego taką radość, ale jak zwykle się pomyliłam. W jego przypadku kompletnie mnie to nie dziwi. Jeden błąd pociąga za sobą kolejny, a ja nieomal popełniłam ich kilka w tej jednej chwili. Zbyt wiele zależy od tych następnych pięciu tygodni, by robić sobie złudne nadzieje na pogodzenie się z tatą lub poznanie tej dziewczyny.

Drzwi zamykają się za mną i czuję, jakbym wróciła do gorącego Sajgonu. Pachnie tu szlifowaniem i farbą. Zapach nieznanej mi obecności wciska się w moje pory, po czym słodki aromat ukorzenia mnie z powrotem w Đà Lạt. Na zewnętrznych parapetach stoją doniczki z hortensjami w kolorze pastelowego różu, a ich duże cienie rozpościerają się nad pustymi pokojami. Chcąc stąd uciec, pokonuję krzywe schody po dwa stopnie naraz i ląduję w korytarzu, gdzie z killorga drzwi otwarte są tylko jedne. Świetliste ostrze przecina ciemność, a ja podążam za nim do środka.

Pokój pochłania mnie swoim blaskiem. Przysufitowe sztukaterie mają tak fantazyjne kształty, że brakuje wśród nich jedynie rzeźb Michała Anioła. Ramę łóżka zdobią wydrążone róże, zagłówek obito aksamitem. Ogólny wystrój pomieszczenia jest co najmniej niebanalny, ale to mnie nie odstrasza i zmęczona padam na materac. Moja walizka się przewraca, głosy w domu cichną i dolatuje mnie dźwięk uruchamianego silnika.

Przez jakiś czas leżę nieruchomo, sama, bo prawda jest taka: Ba nas zostawił, całą naszą trójkę, z mamą i bez alimentów. Dla niego nie ma już powrotu.

Po południu budzę się z drzemki. Wszystko mnie boli, gdy przypominam sobie, gdzie jestem. Niepewna, co skuteczniej trzyma mnie w łóżku: jet lag czy postanowienie, by jak najmniej widzieć się z tatą, po kilku minutach niechętnie przyznaję w duchu, że mój żołądek za chwilę zacznie trawić sam siebie.

– Niech to szlag.

Odrywam wzrok od bladego sufitu i wstaję. Cienka pościel przylega do mojego spoconego ciała, swoim nadrukiem ledwie zakrywając jego zarys. Ohyda. Okna wychodzą na porastający wzgórze sosnowy las, a hortensje podnoszą głowy i zaglądają

przez nie do środka. Chcę odblokować to, które znajduje się najbliżej biurka, i po omacku szukam uchwytu, ale palcami ocieram się o coś włochatego. Robale – wielookie, wielonożne, niektóre bezskrzydłe – zaśmiecają cały parapet.

– Obrzydlistwo – mruczę do siebie.

Nie są ani rozgniecione, ani zaplątane w pajęczynę. Zupełnie jakby padły martwe. Nawet sieci rozciągnięte wzdłuż szyb są pozbawione życia, a pająki leżą odwrócone na szarych grzbietach. Nie dziwi mnie fakt, że Ba rozpyła wszędzie truciznę i nazywa to miejsce domem.

Ignorując trupy stawonogów, próbuję ponownie otworzyć okno. Kiedy mi się to nie udaje, przechodzę do pozostałych. Podważam, ciągnę w górę, wstrzymuję oddech i powtarzam sekwencję – żadne ani drgnie. Chyba po prostu nie pozostaje mi nic innego, jak tutaj uschnąć.

Burczy mi w brzuchu.

– No już. – Ty zdradziecki organie, dopowiadam w myślach.

Po cichu wychodzę na korytarz. Tym razem otwarte są inne drzwi. Za nimi na szmaragdowej tapecie rozciągają się gałęzie. W pierwszej chwili myślę je z korzeniami wbijającymi się głęboko w szkielet domu, ale kiedy podchodzę bliżej, widzę, że są narysowane. Na ich końcach siedzą ptaki. Czuwają nad piękną wanną z nóżkami w kształcie pazurów i połączaną armaturą. Ba na tyle, na ile mógł, odrestaurował już to pomieszczenie, ale i tak widać, że tapeta została gdzieniegdzie nadgryziona zębem czasu.

Moje dłonie są lepkie od potu i jak zakładam, wnętrzności robali. Pośpiesznie ruszam w stronę umywalki, żeby umyć ręce. Wydlubuję brud spod krótkich paznokci i zastanawiam się, co powiedzieć Ba, o ile cokolwiek. Przed kwietniowym telefonem praktycznie ze sobą nie rozmawialiśmy.

Bez stypendiów: sześćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Z: trzydzieści osiem tysięcy siedemset pięćdziesiąt pięć. Tyle zarobię tego lata, plus odsetki, które musiałabym doliczyć do kredytów. Opłacenie kolejnych lat edukacji będzie problemem przyszłej Jade.

W tym momencie postanawia dać o sobie znać atakujący mnie co jakiś czas niepokój. Nie patrz w lustro. Nie lubię tych myśli. Przed oczami od razu widzę stronę The Health In Mind.

Najważniejsze jest, by zdać sobie z nich sprawę. Są cholernie natrętne.

Następnie je zaakceptować i pozwolić im odejść. Nie niosą za sobą żadnego znaczenia.

Podnoszę wzrok. Moje odbicie wpatruje się we mnie. Jestem tu sama, jeśli nie liczyć obserwujących mnie zza ramienia ptaków, które wbijają we mnie swoje pełne blasku ślepie. Zakręcam wodę i wychodzę. Kran przecieka, ale jako że ten rachunek to nie moje zmartwienie, pozwalam na to bez żadnych wyrzutów sumienia.

Ten dom jest absurdalnie duży, wydaje się co najmniej dwa razy przestronniejszy od całej naszej kamienicy w Filadelfii, nawet pomimo rosnących w każdym kącie i zajmujących mnóstwo miejsca hortensji. Kiedy wchodzę do salonu, zwalniam kroku. Półka nad kominkiem jest zupełnie niewykorzystana, pusta i pogrążona w ciemności. Tę pustkę dodatkowo podkreślają blade jak kości ściany. Mama, Bren, Lil i ja uśmiechamy się promiennie z tanich ramek, kompletnie znikając w ogromnej przestrzeni. Ten dom zaprojektowano tak, by ludzie czuli się w nim mali. Nie muszę podchodzić blisko, żeby wiedzieć, że te zdjęcia są stare.

Żołądek zmusza mnie do natychmiastowego rozpoczęcia poszukiwań kuchni. Okazuje się to niebywale proste: podążam

za skwierczeniem patelni. Ba stoi przy kuchence w jasnym pomieszczeniu i spogląda w moją stronę, gdy słyszy skrzypienie podłogi.

– Robię *bánh xèo**.

To było kiedyś ulubione danie Brena. Jedyne jedzenie, które w wieku trzech lat zjadał do ostatniego kęsa. I też trzy lata minęły od ostatniego razu, kiedy o nie poprosił. Nagle warzywa przestały mu smakować. Ale myślę, że po prostu nie chciał, by przypomniano mu, kto robił je najlepiej.

– Spoko, ale Lily jest teraz weganką – mówię.

Jej kucyk przechyla się na bok, gdy ruchem ust komunikuje mi, że mam się zamknąć. Aby zatuszować mój brak taktu, mówi na głos:

– Wyciągnę sobie mięso i krewetki.

Pokazuję jej kciuk w dół. Nie po to zaczęłam jeść tofu co najmniej dwa razy w tygodniu, żeby Ba się tak łatwo z tego wywinął.

Zapalam kadzidła na małym ołtarzyku w rogu kuchni. Trzy przy figurce Quan Âm i jedno dla mojej babci ze strony taty. Mama nie zmusza nas do modlitwy. Nie chodzimy też do świątyni z wyjątkiem święta Tết, ale czułabym się dziwnie, gdybym przeszła obok ołtarza bez okazania szacunku. Ba wylewa ciasto z mąki ryżowej na patelnię. Jego obecność rozprasza mnie swoją namacalnością, dlatego zamykam oczy.

Droga Bà Nội, proszę, spraw, aby twój syn mnie tak bardzo nie denerwował. Czuwaj nad nami, nad mamą, no i nad Brenem. Następnie przypominam sobie, że Bà nie znała angielskiego, więc na szybko sklecam jakąś bełładno-nieskładną wietnamską wersję. Popiół z kadzidła spada do wypełnionego ryżem

* *bánh xèo* (wiet.) – wietnamski ryżowy naleśnik z mięsem i warzywami [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza]

pojemnika. Drewniana tabliczka z jej imieniem znajduje się u stóp figurki Quan Âm.

Bùi Tuyết Mai

Jej jedyne zdjęcie jest schowane w portfelu Ba.

„Zobacz, Jade – mawiał, pokazując mi je. – Masz jej oczy. *Đôi mắt bò cừu*”.

„Oczy wielkie jak u gołębia”. Ale czy nie widział, że są też takie jak jego? To miało dla mnie większe znaczenie, ponieważ nie znałam jego rodziny tak jak tej ze strony mamy. Jest najmłodszy z szóstki rodzeństwa. Jako jedyny dotarł do USA i nigdy nic o nich nie mówił. On co tydzień rozmawiał z Bà Nội przez telefon, ale my nigdy – bariera językowa była zbyt duża.

Siadam przy dosuniętym do ściany stole i mieszam *nước mắm**, aby dodane do niego ząbek czosnku i pokrojone papryczki chili dobrze nim przesiąkły. Lily rzuca mi kolejne spojrzenie, które bardzo wyraźnie mówi: „Żadnych kłótni albo jesteś trupem”, i wychodzi do łazienki. Moja młodsza siostra jest przesłodka, dopóki ktoś nie nadeptnie jej na odcisk. Kątem oka widzę Ba i jego dzinsy, z których przy każdym ruchu odpada zaschnięta farba.

Stawia przede mną talerz.

– Mama zabroniła Brendanowi przyjechać?

– Ma osiem lat. Sam podjął tę decyzję. – Z emocji buzuje mi w żołądku. Odchylam głowę do tyłu na tyle mocno, że spotykamy się wzrokiem. – Możesz zapytać ich o to osobiście, jeśli z nami polecisz. Ale umowa jest taka, że to ja miałam tu przyjechać, prawda?

* *nước mắm* (wiet.) – sos rybny

– Wiem, jaka jest umowa. Ale jestem jego ojcem. Twoim zresztą też. – Nie kryje niezadowolenia z faktu, w jaki sposób się do niego zwracam.

Najchętniej w ogóle bym z tobą nie rozmawiała, tatusiu.

To ty mnie tu ściągnąłeś. Ty pomachałeś mi pieniędzmi przed nosem. A ja, jako że jestem ambitnym skrzatem, chętnie je przyjmę, ale nie kupisz nimi mojego szacunku.

Zapach świeżo usmażonego naleśnika, żółtego od kurkumy i wypełnionego po brzegi chrupiącym boczkim, krewetkami oraz kielkami fasoli, sprawia, że mój żołądek niemalże piszczy ze zniecierpliwienia. Przez krótką chwilę sama żałuję, że Brendan z nami nie przyleciał. Byłby w stanie nazwać wszystkie walające się po kątach zdechłe robale. A także swoim urokiem albo irytującym zachowaniem, ramię w ramię z Lily, skutecznie zajmowałby ojca i mogłoby się nawet okazać, że nie musiałabym już nigdy zamienić z nim ani słowa.

Przelewam *nước mắm* do małej miseczki i trzymam się praktycznych tematów.

– Nawiasem mówiąc, nie mogłam otworzyć okien w pokoju.

– Odmalowałem framugi – informuje mnie Ba, zawijając swojego *bánh xèo* w sałatę. – Później się tym zajmę.

Wyobrażam sobie, że szpary w oknach są teraz idealnie szczelne, pokryte zaschniętą, utrzymującą ciepło farbą. No przecież, że je tak bezmyślnie pomalował. Zawsze lubił chodzić na skróty.

– Czyli... – mówię, po czym przetykam kęs naleśnika. – Ty i Ông Sáu robicie z tego domu coś na kształt hotelu? – Że też jest na to popyt. Ja tam wolę jeść śniadanie i spać we własnym łóżku za zero dolarów, niż słuchać przez ścianę, jak jacyś staruszkowie w pokoju obok skutecznieją rocznicowe bzykanko.

– Zgadza się. Zaczniemy przyjmować rezerwacje na sezon turystyczny, jak tylko ty i Florence skończycie stronę internetową.

Przestają przeżuwać.

– Słucham? – Z mojego *bánh xèo* wypadają krewetki. Strona internetowa zawsze była częścią umowy w związku z tym, że chodzę na zajęcia z programowania, ale nigdy nie było rozmowy o żadnym grupowym projekcie.

– Florence tłumaczy dla ciebie wszystko na wietnamski. Google wymięka – mówi.

Kompletnie mnie to nie interesuje. Te wakacje muszą być najmniej skomplikowane, jak to tylko możliwe. A za tym idzie stuprocentowe skupienie na zadaniu, które mam do wykonania, zero pracy zespołowej i żadnych przyjaźni.

– Dobrze sobie też radzi w sprawach komputerowych. Urodziła się tutaj, ale ukończyła szkołę w USA.

– Ja jej nawet nie znam – argumentuję, mimo że brzmi to bardzo niedojrzale.

– Od przyszłego roku będzie się uczyła w Temple. Poznać się.

– Wcale nie chcę się z nią poznawać – pryham.

Ale jak mogę oczekiwać, żeby to zrozumiał? UPenn jest nie tylko moim pierwszym wyborem, jeśli chodzi o studia, ale także miejscem, w którym zmieni się moje życie. Gdzie będę mogła być blisko domu, mamy, Lily i Brendana, chociaż tak naprawdę zamieszkam oddzielnie. Czuję się niedowartościowana w sposób, którego nie potrafię wyrazić słowami, w pewnym sensie zagubiona, ale to może się zmienić w college'u. Będę mogła się dowiedzieć, kim tak naprawdę jestem i kogo lubię, bez konsekwencji. Halle, moja najlepsza przyjaciółka, jest jedyną osobą, którą chcę mieć blisko siebie. W sensie: była. Zapominam, że nie jest już moja.

– Jak wolisz.

Kończymy jeść w ciszy. Ściany domu zamykają nas jak w konie i zastanawiam się, czy Ba sądził, że odrodzimy się w nim na nowo, bardziej wartościowi. Nie, dobra, nie mam siły teraz o tym myśleć.

Mam zadanie do wykonania.

Strużka potu kapie na mój brudny od tłuszczu talerz.

– Jak nazwiecie to miejsce?

Na tle nazbyt idealnie prostych szafek jego plecy wyglądają na lekko zgarbione, prawdopodobnie obolałe od pracy. Odkłada niezjedzone masło do lodówki, z której ulatuje subtelny zapach zgnilizny wydzielany przez za długo trzymane w niej produkty.

– Nhà Hoa. – „Dom kwiatów”. Nazwa nieskomplikowana, bujna i absorbująca.